

PŁAKAŁEM. ZAMYŚLAŁEM SIĘ. ŚMIAŁEM.
BARDZIEJ NIŻ ZWYKLE DOCENIŁEM
TĘ NAJBARDZIEJ NIEDOCENIANĄ
Z PROFESJI.

ADAM KAY, AUTOR *BĘDZIE BOLAŁO*

PIEŁĘGNIARKI

CHRISTIE WATSON

MARGINESY

The Language of Kindness

COPYRIGHT © Christie Watson 2018

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Ewa Borówka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY

WYDAWNICTWO MARGINESY, WARSZAWA 2019

Pielęgniarkom

Poeta jest słowikiem, który w ciemności śpiewa, by swoimi słodkimi dźwiękami rozweselić sobie samotność; jego słuchacze są jak ludzie zaczarowani melodią niewidzialnego muzyka, którzy czują, że są wzruszeni i napełnieni błogą słodyczą, lecz nie wiedzą, skąd ani dlaczego.

Percy Bysshe Shelley

(Obrona poezji w przekładzie J. Świerżowicza)

OD AUTORKI

Zdarzenia tu opisane opierają się na wspomnieniach moich przeżyć z czasów, gdy pracowałam jako pielęgniarka. Dla ochrony prywatności pacjentów i współpracowników zmieniałam cechy charakterystyczne osób i miejsc, a w celu dodatkowego ukrycia ich tożsamości połączyłam opisy pewnych postaci i sytuacji. Wszelkie podobieństwa są zatem czysto przypadkowe.

ZA CO WARTO RYZYKOWAĆ ŻYCIE

Pielęgniarstwo pozostawiono osobom „tak starym, słabym, zapijaczonym, beze-
cnym, głupim czy złym, że nie nadają się
do niczego innego”.

Florence Nightingale

Nie zawsze chciałam być pielęgniarką. Brałam pod uwagę rozmaite zawody, doprowadzając tym do irytacji doradcę zawodowego z mojej niezbyt renomowanej szkoły średniej. Zbałamuciona wizjami paradowania pod słońcem w kostiumie kąpielowym i pływania z delfinami wspominałam między innymi o pracy oceanografki, chciałam się zajmować biologią morza. Gdy dowiedziałam się, że większość takich naukowców bada plankton u wybrzeży Walii, uznałam, że trzeba sprawę przemyśleć. Podczas wakacji w Swansea często podglądałam stryjeczną prababkę patroszącą sumy w wielkim zlewie kuchennym, a raz wypłynęłam w morze z krzepkimi i kudłatymi gburami w żółtych gumiakach, którzy szczeni za burtę i klęli na czym świat stoi. Na śniadanie jadałam zaś sercówki i pulpę z rozgotowanych szkarłatnic. Biologia morza stanowczo nie wchodziła w rachubę.

– Prawo – odpowiedziała nauczycielka, gdy moi rodzice, wtedy już równie jak ona rozdrażnieni moją postawą, dopytywali, do czego mogłabym się nadać. – Ona może się wytkość od rana do nocy.

Ale ja nie miałam predyspozycji do systematycznego przyswajania wiedzy. Interesowały mnie zwierzęta oraz ochrona przyrody. Marzyłam o pracy fotografki „National Geographic” oraz o podróżach do gorących i egzotycznych miejsc, w których świeci słońce, a ja wreszcie paraduję cały dzień w kostiumie kąpielowym i ani na chwilę nie wyskakuję z japonek. Chodziłam na marsze i demonstracje przeciwko wiwisekcji i rozdawałam w zabudowanym szarą cegłą centrum Stevenage ulotki ze zdjęciami katowanych psów, zakrwawionych, wychudzonych kotów i królików o ślepiach poczerwieniałych od laboratoryjnych testów kosmetyków. Nośiłam jarmarcznej jakości przypinki o treściach politycznych. Stale mi się odczepiały i wbijały w ciało, aż któregoś wieczora odkryłam na piersi konstelacyjkę nakłuć po szpilce. Gdy mama kupiła sobie na pchlim targu wypchane kurczątko i ustawiła je pośród innych bibelotów, odmówiłam wchodzenia do salonu i w ramach protestu przełykałam swoją wegetariańską kolację na schodach, powtarzając:

– Albo ja, albo kurczaczek. Nie chcę mieć nic wspólnego z morderstwem.

Mama, która z niewyczerpaną cierpliwością wybaczała mi bóle egzystencjalne wieku dojrzewania, schowała kurczątko, przytuliła mnie i dorobiła mi kanapek z serem. Właściwie to ona nauczyła mnie dobroduszości, choć wtedy jeszcze tego nie doceniałam. Nazajutrz buchnęłam ze szkoły szczura, żeby ocalić go przed dysekcją w pracowni biologicznej. Nazwałam go Furter i liczyłam, że będzie żył bezpiecznie u boku mojego domowego szczura Franka, który lubił przesiadywać mi na ramieniu i oplatać mi szyję ogonem jak ekscentrycznym naszyjnikiem. Frank, rzecz jasna, Furtera zjadł.

Pływaczka, trębaczka jazzowa, właścicielka biura podróży, uczona... Brałam pod uwagę astronomię, dopóki jako dwunastolatka nie odkryłam, że tata, który nauczył mnie nazw wszystkich gwiazdozbiorów, od początku do końca je zmyślił. Ale nie przyznałam się; dalej pozwalałam, by w przypływie entuzjazmu i natchnienia wskazywał palcem niebo i opowiadał swoje historie.

– O, widzisz ten w kształcie hipopotama? To Bark Oriela. A tu kwiat, Dzwonek. Widzisz obrys? I srebrne, prawie niebieskawe zabarwienie poszczególnych gwiazd? Rybacy powiadają, że gwiazdy, gdy się w nie dobrze zapatrzeć, wyszeptują tajemnice ziemi. Tak jak wewnątrz muszli opowiada tajemnice morza. Kto wytęży słuch, może w jednej chwili usłyszeć wszystko i nic.

Całymi godzinami wpatrywałam się w gwiazdy, żeby usłyszeć tajemnice ziemi. Nocą wyciągałam spod łóżka kartonowe pudełko z różnymi skarbami: starymi listami, pękniętym breloczkiem, zegarkiem mojego nieżyjącego dziadka, jedną drachmą, odklejoną spod ławki gumą przeżutą przez chłopaka, który mi się podobał, zebranymi w różnych miejscach kamieniami oraz wielką muszlą. Stawałam przy oknie, przykładając do ucha muszlę i patrzyłam w niebo.

Pewnej nocy do ogrodu zakradli się złodzieje, amatorzy mięsa, które przechowywaliśmy w zamrażarce stojącej w szopie. W tamtych czasach mięso kupowało się hurtowo na targu, z ciężarówek, wprost od pokrzykujących przez głośniki rzeźników w utyłanych białych fartuchach. Policja potrafiła wtedy prowadzić nocą dochodzenie w sprawie kradzieży mrożonego kurczaka i moją obserwację gwiazd zakłóciły właśnie policyjne okrzyki. Wszechświat odpowiedział dziewczynce z muszlą: wegetarianizm to ważna sprawa. Nie jestem pewna, kto się

wtedy osobliwiej prezentował: kilku młodych gości niosących mrożonego kurczaka i wielką paczkę kotletów jagnięcych czy chuda nastolatka z wielką muszlą przy uchu, stojąca za szybą w świetle księżycy.

Spośród moich znajomych chyba tylko ja tak bardzo przejmowałam się przyszłym zajęciem i zawodem. Nie rozumiałam jeszcze wtedy, że chcę żyć na wiele sposobów, przeżyć życie na wielu poziomach. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że odnajdę właśnie to, czego szukam (oprócz kostiumu kąpielowego i słońca): że zarówno pielęgniarstwo, jak i pisanie to ciągle wchodzenie w skórę innych ludzi.

Odkąd ukończyłam dwanaście lat, stale sobie gdzieś dorabiałam. Szorowałam kuchenki w podrzędnej restauracji – ohyda, a do tego towarzystwo skąpiradeł parzących trzy herbaty z jednej torebki. Pracowałam jako roznosicielka mleka – doręczałam je na takim mrozie, że aż grabiały mi palce. Kolportowałam prasę, póki nie przyłapano mnie na porzucaniu gazet w obskurnym zaułku. Do nauki nieszczególnie się przykładałam, nie odrabiałam też prac domowych. Rodzice starali się poszerzać mi horyzonty: podsuwali pomysły na karierę i wpajali kult pracy.

– Nauka to potęgi klucz. Masz genialny umysł, ale nie chcesz zrobić z niego użytku.

Byłam z natury zdolna, ale mimo dostarczanych przez rodziców narzędzi oraz ich *joie de vivre* bynajmniej nie stałam się pilną i rozważną uczennicą. Stale zachęcali mnie do lektury, a w poszukiwaniu odpowiedzi na liczne dręczące mnie pytania wsiąkłam z kretesem w filozofię: Sartre’a, Platona, Arystotelesa i Camusa. Zamiłowanie do książek to najlepsze, co od nich dostałam. Lubiłam się wałęsać, a jednocześnie mieć pod ręką

coś do czytania, ukrywałam więc książki po całej dzielnicy: *Małe kobiety* w Black Alley, Dostojewskiego za kubłem Catweazela, Dickensa pod wrakiem auta Druciarza.

Porzuciłam szkołę jako szesnastolatka i wprowadziłam się do swojego dwudziestokilkuletniego chłopaka i jego czterech współlokatorów w tym samym wieku. Żyliśmy pośród niebywałego chaosu, a ja pracowałam w wypożyczalni wideo i byłam z tej pracy całkowicie zadowolona: wydawałam VHS-y pracownikom mieszczącego się za ścianą chińczyka w zamian za chow mein z kurczakiem, a mój zapał do wegetarianizmu zaczął słabnąć, ponieważ byłam zbyt zajęta rozstawianiem na półkach filmów dla dorosłych oraz prowadzeniem domu otwartego. Zaczęłam naukę w szkole rolniczej, bo zachciało mi się zostać farmerką, i wytrzymałam tam dwa tygodnie. W szkole turystyczno-hotelarskiej – cały tydzień. Powiedzieć, że nie miałam w życiu celu, to za mało.

Gdy spóźniona na rozmowę kwalifikacyjną nie dostałam posady animatorki zabaw dziecięcych w Pizza Hut, przeżyłam prawdziwe załamanie. Rozpad związku wstrząsnął mną do głębi, chociaż miałam zaledwie szesnaście lat i byłam kompletnie naiwna. Duma nie pozwalała mi wrócić do rodziców. Zero pracy, zero domu. Zgłosiłam się jako wolontariuszka do agencji działającej na rzecz społeczności lokalnej, ponieważ nie udało mi się wówczas znaleźć innej organizacji, która zatrudniałaby nieletnich, a do tego zapewniała zakwaterowanie. Skierowano mnie do domu opieki prowadzonego przez towarzystwo na rzecz osób z porażeniem mięśni (obecnie zwane Scope), gdzie płacono mi dwadzieścia funtów kieszonkowego tygodniowo za zajmowanie się głęboko upośledzonymi ruchowo dorosłymi:

pomagałam im w ubieraniu, jedzeniu i korzystaniu z toalety. Wtedy pierwszy raz poczułam, że robię coś wartościowego. Zaczęłam jeść mięso, zaprzętały mnie doniosłe sprawy. Ogoliłam sobie głowę i wciągałam na grzbiet ciuchy z lumpeksu, a całe kieszonkowe wydawałam na tytoń i cydr. Nie miałam grosza przy duszy, ale byłam szczęśliwa. Wtedy też pierwszy raz znalazłam się w otoczeniu pielęgniarek. Obserwowałam wykwalifikowane pielęgniarki z uwagą chorego dziecka śledzącego ruchy rodzica. Nie spuszczałam ich z oczu. Brakowało mi słów, by nazwać ich zajęcia, ich pracę.

– Zajmij się lepiej pielęgniarstwem – doradziła mi któraś.
– Dostaniesz wynagrodzenie i dach nad głową.

Poszłam do miejskiej biblioteki i przekonałam się, że cały budynek zaludniają wyrzutki społeczne takie jak ja. Jako dziecko bywałam często w bibliotekach w Stevenage – szkolnej i publicznej – ale tutaj chodziło o coś więcej niż poszerzanie wiedzy i wypożyczanie książek. To był rodzaj azylu. W kącie spał niekłopotany przez bibliotekarzy bezdomny. Nieopodal mężczyzna z zawieszoną na szyi plakietką głoszącą, że jest autystą i chętnie pomoże, zdejmował kobiecie na wózk elektrycznym książkę z najwyższej półki. Wszędzie biegały swobodnie dzieci, a gdzieś tam stały grupki rozchichotanej młodszej młodzieży.

Poczytałam sobie o Mary Seacole, która podobnie jak Florence Nightingale, opiekowała się żołnierzami podczas wojny krymskiej. Eksperymenty z pielęgniarstwem zaczęła od podawania leków lalce, potem przeszła do zwierząt domowych i wreszcie zajęła się ludźmi. Nie brałam wcześniej pod uwagę zawodu pielęgniarki, ale powoli zaczynała wracać mi pamięć o tym, jak wraz z bratem wybebeszałam maskotki albo wyciągałam lalkom szklane oczy, by móc je później

naprawić. Przypomniałam sobie też podstawówkę i kolejkę dzieci do badania w kierunku anemii; musiałam się chełpić specjalistyczną wiedzą, skoro dały mi się ustawić na szkolnym podwórzu i odciągać sobie powieki, żeby dowiedzieć się, czy zalecam wątróbkę z cebulką. I jeszcze ci niezliczeni znajomi z bólem gardła, którym uciskałam delikatnie opuszkami szyje, jakbym grała na klarncie, i oznajmiałam: powiększone węzły chłonne.

Nie napisano zbyt wiele o tym, na czym polega pielęgniarstwo i jak się do niego zabrać, nie miałam więc pojęcia, czy się nadam. Dowiedziałam się, że pielęgniarstwo było obecne w każdej kulturze na długo przed powstaniem pierwszych ksiąg historycznych. Jednym z najdawniejszych tekstów poświęconych tej dziedzinie jest pochodzący mniej więcej z pierwszego wieku przed naszą erą indyjski traktat *Czaraka-samhita*, w którym podkreśla się wagę współczucia wobec całego świata. Pielęgniarstwo jest też blisko związane z islamem. Na początku siódmego wieku pobożne muzułmanki zostawały pielęgniarkami – pierwszą w dziejach islamu przedstawicielką tego zawodu była Rufaidah bint Sa’ad, z powodu swojego współczucia i empatii opisywana jako pielęgniarka doskonała.

Zrozumienie, współczucie, empatia – historia pokazuje, że takie są przymioty dobrej pielęgniarce. Nierzadko wracałam myślami do tego dnia w bibliotece, ponieważ w swojej karierze aż nazbyt często obserwowałam niedostatek tych cech, obecnie zapomnianych i coraz mniej cenionych. Ale jako szesnastolatka byłam pełną nadziei i energii idealistką, a gdy ukończyłam lat siedemnaście, klamka zapadła. Dość skakania z kwiatka na kwiatek i przebierania w pomysłach na życie; zostanę pielęgniarce. Poza tym liczyłam na balangi.

Po kilku miesiącach dostałam się psim śwędem na kurs pielęgniarski, choć do wymaganego wieku siedemnaście i pół brakowało mi jeszcze kilku tygodni. Wprowadziłam się do bur-sy pielęgniarskiej w Bedford, wielkiego, stojącego na tyłach szpitala bloku, w którym poza gromkim śmiechem słyszało się głównie łomot zatrzaskiwanych drzwi. Na moim piętrze mieszkały przede wszystkim osoby z pierwszego roku pielęgniarstwa, kilka osób z radiografii i fizjoterapii, a od czasu do czasu trafiał się też medyk. Studentki pielęgniarstwa, na ogół młode i nieokiełznane, w większości pierwszy raz wyrwały się z domu. Było wśród nich całkiem sporo Irlandek (miałyśmy wybór, mówiły – pielęgniarka albo siostra zakonna) i niewielka grupka mężczyzn (w zasadzie samych gejów). Na dole, przy pralni, mieściła się duszna sala telewizyjna z krzesłami obitymi skórą, do której przy hajcujących non stop grzejnikach przylepiały mi się uda. W tym właśnie pokoju telewizyjnym poznałam studenta psychiatrii: palnęłam z głupia frant, że przykleiłam się do krzesła i tak na kilka lat zostaliśmy parą. Mój pokój znajdował się przy samych toaletach i śmierdział stęchlizną, a koleżanka wyhodowała kiedyś na dywanie rzeżuchę. Kuchnia była brudna, lodówka pełna przeterminowanych produktów, kartka przyczepiona do szafki głosiła zaś: NIE OKRADAJ INNYCH Z JEDZENIA. WIEMY, KIM JESTEŚ.

Echo w korytarzu dzień i noc niosło dzwonek jednego jedy-nego aparatu telefonicznego. Zewsząd dobiegały odgłosy kłót-ni, pospieszny stukot obcasów i dźwięki głośno odtwarzanej muzyki. Paliliśmy wszyscy – na ogół papierosy, ale i zapach zio-ła towarzyszył nam jak cichy biały szum, którego po pewnym czasie nawet się nie zauważa. Krążyliśmy po pokojach, jakby wszystkie należały do nas, i nigdy nie zamykaliśmy drzwi na

klucz. U siebie na ścianie miałam plakat z reprodukcją rysunku komór serca autorstwa Leonarda da Vinci oraz półkę z podręcznikami pielęgniarstwa i zaczytanymi do szczytu powieściami, a przy łóżku stertę rozpraw filozoficznych. Do tego czajnik, kaloryfer, którego nie dało się przykręcić, i okno, które się nie otwierało. Była jeszcze umywalka do mycia (siebie i naczyń), strzepywanie popiołu, puszczenia pawia, a przez kilka tygodni, gdy czekaliśmy na przepchanie toalet, również do sikania. Dla moich rówieśników to było niewiele, ale ja, mieszkająca tak długo we wspólnym pokoju w domu opieki, a wcześniej z chłopakiem i jego współlokatorami, postrzegałam to jako istny raj.

Pierwsza noc jest jednak zawsze najgorsza. Nie miałam pojęcia, czym się będę zajmować jako pielęgniarka, i zaczęłam żałować, że nie dopytałam o to pielęgniarek, które mnie zachęciły do złożenia podania. Przeraziło mnie widmo klęski, wyrazu twarzy rodziców, gdy oznajmię, że znów się rozmyślałam. I tak przeżyli wstrząs, gdy się dowiedzieli, że chcę zostać pielęgniarką: ojciec wręcz prychnął śmiechem. Choć pracowałam jako opiekunka, nadal widzieli we mnie zbuntowaną nastolatkę, która ma wszystkich w nosie. Wizja mojej osoby jako uosobienia zyczliwości nie mieściła im się w głowach.

Tej bezsennej nocy leżałam w łóżku i słuchałam, jak sąsiadka zza ściany kłóci się z chłopakiem, patykowatym i humorzystycznym ochroniarzem, który – choć nie zezwalał na to regulamin – najwyraźniej z nią mieszkał. W końcu ucichli, a ja dalej nie mogłam zasnąć. W głowie kłębiły mi się wątpliwości. Wiedziałam, że przynajmniej na początku czekają mnie zajęcia teoretyczne, więc ani nikogo przez przypadek nie zabiję, ani nie będę musiała obmywać jakiemuś staruszkowi prącia albo robić czegoś równie okropnego. Mimo to wciąż targałam mną niepokój.

A gdy poszłam do ubikacji, jednej na całe piętro, i zobaczyłam, że ktoś przylepił do drzwi zużytą podpaskę, żołądek podszedł mi do gardła. Owszem, to było po prostu ohydne, ale wtedy też przypomniałam sobie, że zawsze robiło mi się słabo na widok krwi.

Ta przypadłość potwierdziła się nazajutrz rano podczas badań w poradni medycyny pracy. Pobierano nam krew.

– Do akt – oznajmiła laborantka. – Na wypadek, gdybyś ukłuła się igłą i zaraziła HIV-em. Wtedy będziemy wiedzieć, czy wcześniej nie byłaś już nosicielką. – Wtedy, w roku 1994, HIV otaczała jeszcze aura ignorancji i lęku. Laborantka zacisnęła mi na ręce opaskę. – Jesteś na pielęgniarstwie czy na medycynie? – spytała.

Patrzyłam na igłę, na wzbierającą w strzykawce krew i czułam, jak mętnieje mi wzrok. Głos zdawał się dobiegać gdzieś z oddali.

– Christie! Christie!

Gdy się ocknęłam, leżałam na wznak na podłodze z nogami na krześle, a nade mną stała rozbawiona laborantka.

– Już dobrze?

Uniosłam się wolno na łokciach i złapałam ostrość.

– Co się dzieje?

– Zemdląłeś, kotku. Bywa. Ale może lepiej przemyśl wybór zawodu.

Przez dwadzieścia lat służby tak wiele straciłam, ale jeszcze więcej zyskałam. Pragnę podzielić się z tobą dramatami i radościami towarzyszącymi tej niezwyklej pracy. Przejdź ze mną po salach, od narodzin po śmierć; zajrzyśmy na oddział intensywnej opieki nad noworodkiem i przez podwójne drzwi wemkniemy

się na oddział wewnętrzny, popędzimy korytarzami wezwani do nagłego przypadku, zahaczmy o aptekę i kuchnię dla personelu i trafimy na oddział ratunkowy. Spenetrujemy zakątki szpitala i pielęgniarzką codzienność z jej licznymi obliczami. Kiedy zaczynałam, sądziłam, że na zawód pielęgniarzki składają się: chemia, biologia, fizyka, farmakologia i anatomia. Teraz wiem, że opieka pielęgniarzka to w istocie: filozofia, psychologia, sztuka, etyka i polityka. Napotkamy po drodze wielu ludzi: pacjentów, krewnych i członków personelu, i może kogoś wśród nich rozpoznasz. Bo prędzej czy później każdy z nas wymaga opieki. I każdy komuś opieką służy.

PIELĘGNIARKA

– NAJBARDZIEJ NIEDOCENIANY Z ZAWODÓW.

Christie Watson przepracowała dwadzieścia lat jako pielęgniarka i w tej osobistej, przejmującej książce uchyla drzwi szpitala i zdradza jego tajemnice. Prowadzi szpitalnymi korytarzami na rozmaite oddziały.

Odwiedzimy z nią wcześniaki, które walczą o życie, zawieszane na granicy przetrwania dzięki sieci cewników i opiece; usiądziemy pośród pacjentów onkologicznych i dowiemy się, jak na nich wpływa chemioterapia, zobaczymy z daleka, jak instrumentariuszka współtworzy łańcuch pomocy podczas operacji na otwartym sercu; staniemy z boku, gdy pielęgniarki z zatłoczonego SOR-u będą zmuszone odpierać fale pacjentów otumanionych alkoholem i narkotykami. Spędzimy trochę czasu w szpitalnej aptece i przez uchylone drzwi zajrzemy do przyszpitalnej kostnicy.

**ZBYT RZADKO SŁYSZYMY GŁOS PIELĘGNIAREK,
A AUTORKA GODNIE ODDAJE IM SPRAWIEDLIWOŚĆ.
TO WSPANIAŁA OPOWIEŚĆ
O ŻYCIU W JEGO NAJKRUCHSZEJ FAZIE.**

www.marginesy.com.pl



9 788366 140158

cena 39,90 zł

PATRONAT MEDYCYNY

**PULS
Medycyny**

w sprzedaży także

